

II/3084

Redakcja programu TV "Świadkowie".

Przesyłam obszerniejszą relację z pobytu w Warszawie jesie-
nią 1944 r. odpowiadając na depeszę listową redaktora Jerzego Szo-
tkowskiego. Równocześnie przepraszam za zwłokę, ale intensywna praca
zawodowa nie pozwoliła mi na poświęcenie większej ilości czasu na
pisanie. Relacja ta nie jest, bo nie może być po tak długim okresie
czasu, w dokładnym porządku chronologicznym /pamiętnika nie prowa-
dziłem/, tym nie mniej starałem się w miarę możliwości podać zapamię-
tane zdarzenia w kolejności czasowej. Wiem ponadto, że dużym ^{nieдоста-}~~br-~~
kiem tej relacji będzie brak imion, pseudonimów czy nazwisk innych,
którzy brali udział w opisywanych zdarzeniach lub byli ich świad-
kami, ale pamięć jest zawodna, a po za tym naogół nie znaleźmy
wzajemnie swoich nazwisk.

Po przedostaniu się z Woli w dn. 8-9 sierpnia przez ruiny getta
na Stare Miasto broniliśmy barykady u zbiegu ul. Daniłowiczowskiej
i Bielańskiej. Niemcy atakowali czołgiem, przed którym pędzono ko-
biety i dzieci. Tylko drobna część z nich uratowała się przemykając
między barykadą a ścianą budynku. Reszta pozostała na bruku, chociaż
padli na rozkaz przed rozpoczęciem ognia. Niemcy wraz z czołgiem
wycofali się w kierunku placu Teatralnego. Później byliśmy na Lesz-
nie odpierając ataki Niemców z klasztoru Karmelitów. Około połowy
sierpnia /12-ego lub 13-tego/, odcięci nagle na wprost ul. Orlej od
Starówki uderzeniem Niemców wzdłuż ul. Tłomackie, musieliśmy wyjść
wraz z ludnością cywilną na ulicę. Po wezwaniu do wyjścia i opusz-
czeniu domów przez mieszkańców essesowcy /SS Galizien/ wrzucali
granaty do piwnic, tak że ci którzy pozostawali ginęli od wybuchów,
albo też później odnalezieni byli zabijani, bo dla tej tłuszczy w
mundurach było to prostsze niż konwojowanie małych grup na długiej
trasie do kościoła św. Wojciecha na Woli. Słyszeliśmy o takim pos-
tępowaniu Niemców na Woli, a potem naocznie przekonaliśmy się, że
były to wieści niestety prawdziwe.

Wyszliśmy więc wraz z mieszkańcami na ul. Leszno, a tam natychmiast wraz z kilkudziesięciu ~~męższ~~ mężczyznami zdolnymi do pracy popędzo- no nas na ul. Elektorálną u zbiegu z ul. Chłodną, gdzie do świtu rozbieraliśmy barykadę z płyt chodnikowych blokującą tę ulicę. Rano pod lufami pilnujących esesmanów rozbieraliśmy kolejną barykadę u zbiegu Elektorálnej z ul. Orłą. Wtedy mijała nas kolumna cywilnych mieszkańców idąca z centrum w kierunku ul. Wolskiej i konwojowana przez esesowców niemców. Rannych, poparzonych., poowijanych bandażami prowadzonych lub niesionych przez zdrowszych i silniejszych, niemcy nakazywali wnosić do mijanych bram i tam ich dobijali strzałami z pistoletów. Młode dziewczęta wyciągane z maszerującej kolumny do bram były tam gwałcone i pozbawiane życia strzałami. Sceny mrozące krew w żyłach, bo to już nie barbarzyństwo, to bestjalstwo. Były chwile, że chcieliśmy zatłuc takiego "nadczołwieka" łopatomi trzymanymi w rękę, ale świadomość beznadziejności takiego czynu przywracała rozum, który nakazywał czekać na sposobniejszą chwilę do zemsty za to wszystko.

Następnie w mniejszej oddzielonej grupce mężczyzn pracowaliśmy przy załadunku na samochody skrzyń wyciąganych z palącej się mirowskiej hali targowej. Niesamowita sceneria pożarów, strzelaniny, trupów leżących na ulicy. Noc spędziliśmy obok kościoła św. Karola Boromeusza zamienionego przez niemców na skład amunicji i miejsce koncentracji oddziałów wyruszających na linię walk. Następnego dnia rano dołączono nas kilku do przechodzącej innej grupy mieszkańców opuszczających miasto i wraz z nią znaleźliśmy się na ul. Leszno przy wypalonym budynku, z którym związane zdarzenia opisałem w poprzednim liście.

Z wziętymi do niewoli powstańcami, było ich kilkoro / w tym jedna dziewczyna/ w panterkach, doprowadzono nas na teren byłego szpitala dziecięcego im. Karola i Marii. Czekaliśmy na śmierć pod wysokim i gęstym żywopłotem. Na umówiony znak, przy nadarżającej

się chwili, prysnęliśmy z bratem w przerwę w żywo płocie uciekając początkowo w głąb terenu posesji szpitala, a potem nagle już powolutku za drugim równoległym żywo płotem w kierunku przeciwnym - do ul. Leszno. Ten manewr się udał, bo krzyki pogoni i strzały oddalały się początkowo w pierwszym kierunku ucieczki. Przez ogrodzenie przedostaliśmy się na ulicę, którą akurat przechodziła i miała chwilowy postój duża grupa cywilnej ludności opuszczającej miasto. To nas chyba uratowało, gdyż niemcy, którzy pojawili się z terenu szpitala nie odnaleźli nas w licznej grupie cywilów. Zauważył nas za to jeden z konwojentów grupy z odznakami SS-Galicien, ale obyło się tylko na dotkliwym skopaniu zwłaszcza brata Jurka. Doszliśmy z grupą do wrót cmentarza kościelnego, kościoła św. Wojciecha na Woli, a tam gestapowcy wyłowili dwóch "banditen" tzn. nas. Zaprowadzeni do budynku probostwa, gdzie mieli swoją siedzibę siedzeliśmy zamknięci w piwnicy. Po jakimś czasie niemcy użyli nas do noszenia wody na teren kościoła. W tym obozie przejściowym, etapowym na drodze do Pruszkowa było niesamowicie ciasno. Ludzi w kościele było pełno, tak że część nawet nocą przebywała na zewnątrz. Kilka wiader doniesionych na plac przed kościołem i do wnętrza kościoła było kroplą dla tego tłumu wynędzniałych ludzi. Dużo tej wody szło na marne, bo spragniony tłum naciskał i trudno było rozlać wodę do nastawianych naczyń. Wielu nie dostało ani kropli, bo Niemcy nie pozwolili na dalsze donieszenie wody ze studni, która była po za terenem kościoła. Rankiem, wraz z kilku nam podobnymi, zabrał nas patrol policji na teren pobliskich magazynów "Społem" ciągnących się wzdłuż linii kolei średnicowej na wprost ul. Bema. Tam trzymano nas pod murem z rękami do góry przez jakiś czas, a później kazano nam zamiatać podwórko. Kręcący się niemcy formacji SS co i raz próbowali do nas strzelać ze szmajserów, ale ci co nas pilnowali jakoś mitygowali rozjuszonych kolegów, właściwie nie wiadomo

dłaczego, bo przecież sami przy innej okazji byli im podobni. Potem przenosiliśmy z miejsca na miejsce grube kłocce drewna, a największą uciechą esesowców było popędzanie nas kopniakami. Później nosiliśmy cukier w workach papierowych z magazynu do wagonów towarowych. Po załadowaniu wagonu towarowego oficer niemiecki stojąc na rampie kroił chleb w kromki i rzucał nam pod nogi, ale nikt z nas się nie schylił by go podnieść, a nie wiem jak inni, ale my z bratem od kilku dni nic nie jedliśmy prócz paru łyków wody. Taka hardość rozwścieczyła liczną gawiedź otaczających nas Niemców i pognali nas do ładowania następnego wagonu. Zorientowaliśmy się, że w workach jest cukier w kostkach, wobec tego puściłem worek z pleców. Niesamowity ryk i kopanie pilnującego Niemca, ale koledzy tymczasem napełnili kieszenie kostkami cukru by potem się podzielić. Późnym wieczorem odprowadzono nas do budynku stojącego pomiędzy terenem magazynów Spółem a kościołem. W budynku tym ogrodzonym wysoką siatką, przed powstaniem byli więzieni jeńcy radzieccy. Obiekt był dwupiętrowy w stanie surowym, a wewnątrz na obu piętrach stały drewniane piętrowe prycze. Na parterze mieściła się wartownia i pomieszczenia dla strażników oraz pomieszczenie kuchenne. Na piętrach ~~widzieliśmy~~ na ścianie wprost drzwi wisiały ogromne afisze z portretem Hitlera i napisem "Gitler Oswobodziciel". Na obu piętrach tego budynku Niemcy zgrupowali kilkuset mężczyzn w różnym wieku, ale zdolnych wg nich do pracy, tworząc obóz pracy. Stamtąd, przez cały wrzesień i połowę października, codziennie od godz. 6 rano pędzono nas do roboty tworząc odpowiednie komanda. Powracaliśmy do obozu około godz. 18-tej, ale bywało że dużo później. Wyżywieniem był kubek czarnej kawy i cienka skibka wojskowego chleba, rano przed pracą i podobna porcja po pracy.

W pierwszych dniach pracowaliśmy naogół przy załadunku na ~~xxx~~ samochody lub wagony różnych dóbr z magazynów lub zakładów leżących na zachodnich terenach Warszawy już zdobytych przez Niemców.